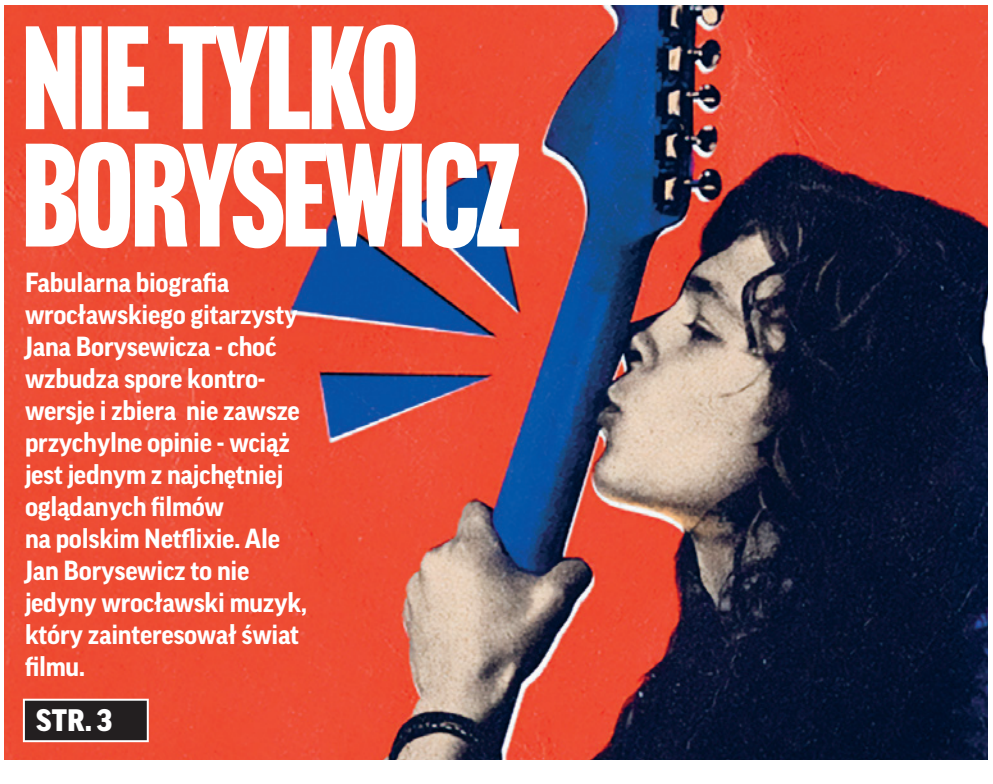




EMOCJE
RADIO WROCŁAW KULTURA
EMOCJE
EMOCJE NR 30
magazyn kulturalny RADIA WROCŁAW KULTURA ISSN 2544–1787 egzemplarz bezpłatny 2026



Fot. Henryk Mamica-Hüsken



Nadajemy cyfrowo w DAB + i online:
radiowroclawkultura.pl

Jak odbierać
Radio Wrocław Kultura

1 Darmowa aplikacja mobilna **Radia Wrocław Kultura.** Za jej pomocą można nas słuchać.

2 Tradycyjny odbiornik radiowy. Koniecznie z cyfrowym systemem **DAB+.**

3 Na stronie **www.radiowroclawkultura.pl.** Tu można nas zobaczyć w wysokiej jakości transmisji wideo.

AFERA Z ANGELUSEM

Z Julią Różewicz, tłumaczką, szefową wydawnictwa Afera, laureatką Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus 2026 za polski przekład powieści „Bílá Voda" Kateřiny Tučkovej, która została nagrodzona Angelusem i Nagrodą Czytelników, rozmawia Jacek Antczak.



fot. Max Pflegel (Wrocławski Dom Literatury)

Julia Różewicz (z lewej) i Kateřina Tučkova z Angelusami



Radio Wrocław Kultura: *Podwójny, a właściwie potrójny Angelus, to największy sukces w dziejach wydawnictwa Afera?*

Julia Różewicz: W 2019 roku nasza książka ,,Jezioro'' Bianki Bellovej w przekładzie Anny Radwan-Żbikowskiej była w finałowej siódemce. Ale tak, to nasz największy sukces, przynajmniej angelusowy, i jestem bardzo szczęśliwa.

Afera ma siedzibę jakieś pięćdziesiąt metrów od Radia Wrocław Kultura i ujawnię, że czasami można spotkać Julię, która dźwiga i pakuje do bagażnika samochodu, takie ciężkie kartony pełne książek, a potem jeździ z jednych targów książki na drugie. A gdzie ekipa Twojego wydawnictwa? No chyba że jest jednoosobowe?

Jak mnie zobaczycie z kartonami, to zawsze zapraszam do pomocy. Prawda jest taka, że prowadzenie takiego wydawnictwa to bardzo trudny chleb. Gdybym opłacała kilka osób na etacie, to fakt, nie musiałabym sama nosić książek, ale już po paru miesiącach nikt nie musiałby ich nosić, bo wydawnictwo już by nie istniało. Żeby przetrwać, wiele rzeczy trzeba robić samemu. Dlatego bardzo wielu takich wydawców-pasjonatów w Polsce to firmy jedno lub dwuosobowe.

I tak Afera daje radę już 15 lat. Ile książek wydajesz rocznie?

Średnio pięć, czasami trochę więcej, czasami mniej. Średnio pięć i pół rocznie... Wyliczyłam to ostatnio przy okazji panelu, w którym brałam udział na największych na świecie targach książki – we Frankfurcie. W tym roku gościem honorowym były Czechy. Przyjechało tam 75 autorów i autorek z tego kraju, w tym wielu, których wydaje Afera. Ja miałam wystąpienie na temat literatury czeskiej poza granicami.

I mówiłaś jak małemu wydawcy jest trudno?

Obok mnie siedział Włoch, który wydaje Czechów w Turynie, z drugiej strony Austriak, który też ma głównie czeskie książki. I zgodziliśmy się, że to tytaniczna praca pasjonatów, wręcz świrów. No bo kto jest na tyle szalony, żeby z własnej woli ograniczyć się do wydawania książek z jednego, malutkiego kraju? Gdyby wydawał literaturę na przykład amerykańską, to pół biedy, ale to są Czechy, malutki kraj, język, którym posługuje się góra 12 milionów ludzi, a mimo to, ta literacka czechofilia, jest na tyle silna, że nadal wszyscy jesteśmy na rynku.

Jak zostałaś filologiem, tłumaczką, wydawcą? Jak było z tą twoją miłością do książek, skąd twoja „láska k české literatuře"?

To był przypadek. Mam syna w klasie maturalnej i widzę różnicę między tym, jak ,,dzisiejsza młodzież'' podchodzi do wyboru studiów, jakie jest to świadome, a tym, jak było za naszych, przedinternetowych czasów. Było inaczej: ,,No dobra, tu mnie nie wzięli, to pójdę tam, a jak nie tu, to tam''. Ja zdawałam maturę z trzech języków: polskiego, angielskiego i niemieckiego, więc mogłam pójść tylko na jakąś filologię. A że na angielską mi jakichś dwóch punktów zabrakło – z czego bardzo cieszę, bo byłabym teraz w może zbyt tłumnym gronie filologów angielskich – padło na czeski, i super, bo to bardziej niszowy wybór, dzięki któremu dziś mogę dawać czytelnikom to, co najlepsze z literatury czeskiej. A studiowanie czeskiego mieszkając we Wrocławiu to i wtedy, i zawsze, jest świetny pomysł. Do Czech jest blisko, co daje szerokie możliwości współpracy gospodarczej i kulturalnej. Naprawdę polecam.

Pierwszą książką którą wydałaś po założeniu Afery ?

Mój pierwszy autor to Petr Šabach, a książka, to zbiór opowiadań pod tytułem...

...który mamy kłopot wyczytywać w radiu. Ale w papierowych „Emocjach" już łatwiej. Po czesku to „Hovno hoří", co przetłumaczyłaś jako „Gówno się pali". Ukazała się w 2011 roku.

W lutym, na walentynki. Šabach to był autor bardzo wówczas popularny w Czechach, w każdej dużej księgarni miał swoją osobną półkę, a myśmy na studiach o nim jakoś nie wspominali. Bestsellerysta, ale z wartościową prozą, nie taką kioskową. Na Erasmusie w Pradze zaczęłam czytać jego książki. Wsiąkłam, a potem zaczęłam czytać innych autorów współczesnych, niektórych zresztą teraz wydaję. Wydawnictwo założyłam właśnie po to, żeby pokazywać faktyczne nowości, nie pozycje z lat osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych, które na studiach omawialiśmy jako ,,literaturę współczesną''. I to jest wspaniałe, że najpierw się kimś zachwycałam z daleka, kupowałam książki i sobie czytałam, a teraz ci autorzy i autorki, są moimi przyjaciółmi albo dobrymi znajomymi. Takie spełnienie marzeń.

Możesz sobie z ukochanym autorem pójść do czeskiej hospody.

I tak mi się zdarza, a najczęściej zdarzało się właśnie z Šabachem, który niestety w zmarł w 2017 roku. Ale kiedy żył, nie było innej możliwości, jak tylko hospoda, i to nie jedna, a wiele. Mówiliśmy na to ,,clubbing'', ale to śmiesznie brzmi, bo to był clubbing po czeskich hospodach, takich w starym stylu, z ceratą i smrodem smażeniny w powietrzu. Petr całe życie mieszkał na praskiej dzielnicy Dejvice, i zazwyczaj właśnie po jego rewirze się kręciliśmy.

Czyli to był raczej hospodding.

Hospoding, tak jest. Myśmy się z Petrem nawet poznali w hospodzie, bo pierwsze spotkanie wyznaczył nam w centrum Pragi, w jednym z jego ulubionych lokali – ,,U parlamentu''. I tam przy paru piwach nastąpiły pierwsze ustalenia. To bardzo otwarty człowiek i jego pisanie spełnia nasze wyobrażenia o starej szkole czeskiego pisarstwa, z anegdotycznymi opowieściami często wziętymi właśnie z knajpek.

I dokładnie 15 lat później wydałaś jego siódmą już książkę „Láska je kurva".

To trzynaście opowiadań, które opiewają miłość, nieoczywistą, często słodko-gorzką, nigdy szczęśliwą. Z tyłu okładki napisałam, że występuje tam cała galeria pechowców i właśnie tak jest. A na tym na szczęście nie koniec, bo jest jeszcze kilka nieopublikowanych po polsku tytułów Šabacha. Czyli mam co wydawać, jestem też w dobrych relacjach z jego rodziną. Petr stał się już legendą: na Dejvicach jest skwerek jego imienia i nowa tabliczka pamiątkowa, zachęcam, można sobie tam pójść, pomyśleć o nim i wypić za niego piwko na ławce przy fontannie.

Afera wydaje też kryminały, książki dla dzieci, literaturę faktu.

Egzemplarzowo najwięcej sprzedawało się książki pt. ,,Niedoparki'' Pavla Šruta, czyli powieści dla dzieci o przygodach pożeraczy skarpetek. Z humoru wydałam też m.in. opowiadania Zdenka Svěráka, znanego aktora, który czasami pisze prozę, no i ,,Saturnina'' Zdenka Jirotki, czeską książkę stulecia, która wciąż ma dodruki i najwyraźniej nie może się nam znudzić. Powstała w 1942 roku, wydałam ją w 2019, a niedawno, gdy wspomniał o niej w radiu profesor Ryszard Koziołek, to dosłownie wybuchł mi sklepik internetowy, bo czytelnicy znowu rzucili się na ,,Saturnina''. Saturnin jest wiecznie żywy.

A seria kryminałów?

Seria ,,Czeskie krymi'' liczy już dwanaście tomów. Wkrótce nastąpi w Aferze wybuch czeskiego krymi, bo ukażą się aż trzy książki z serii, jedna po drugiej. Czeskie kryminały mają coś w sobie i nie są grubymi nićmi szyte. Nie naciągane, nie spotkasz tam śledczych z supermocami, to prawdopodobne zbrodnie, w dodatku w lokacjach, które znamy, bo akcja rozgrywa się na przykład w Beskidzie Śląsko-Morawskim, dokąd Polacy lubią jeździć w góry. Mamy Pragę, Ołomuniec, Szumawę... Seria Czeskie krymi jest lubiana i fajnie się sprzedaje, również w ebookach. A jeśli chodzi o inne bestsellery, to na pewno Šabacha i innych humorystów wyraźnie dogania Kateřina Tučková...

Powieść „Bílá voda" za którą otrzymałyście Angelusa, to już bardzo poważna historia.

Tak, a tytułowa ,,Bílá Voda'' to miejscowość na pograniczu Polski i Czech, niedaleko Złotego Stoku, rozpoznawalna w naszym regionie. To przyczyniło się do sukcesu tej książki, w Opolu, we Wrocławiu, na Dolnym Śląsku, ale nie tylko tutaj. ,,Bílá Voda'' to powieść, za którą Kateřina dostała Nagrodę Państwową Literacką w Czechach. To nagroda, którą zwykle się przyznaje dużo starszym autorom, a Kateřina to rocznik 1980 i jest jedną z najmłodszych laureatek. Pisała tę książkę 10 lat.

To powieść, ale opowiada o prawdziwych zdarzeniach.

Wszystkie książki Kateřiny Tučkovej są oparte na faktach, i autorka robi naprawdę bardzo obszerny i dogłębny research do każdej powieści. To jest fikcja, ale bardzo mocno muśnięta faktem. W latach 50. XX wieku komuniści w Czechosłowacji postanowili po prostu wykończyć wszystkich zakonników. Na siostrach zakonnych odbiło się to w szczególny sposób, bo były zupełnie bezbronne. One nie miały nikogo, kto mógł się za nimi wstawić. Żeby zostać zakonnicą w kraju, w którym Kościół nigdy nie miał mocnej pozycji, trzeba było naprawdę silnego powołania. Nikt nigdy nie mógł myśleć o żadnych profitach, bo ich po prostu nie było. Losy tych sióstr były tragiczne. Zostały zabrane ze swoich klasztorów macierzystych i internowane. W klasztorach internowania nie miały zasobów żywności, opieki lekarskiej, nie miały żadnego duchownego, dostępu do sakramentów. Często po prostu umierały. W Bílej Vodzie był jeden z największych tych klasztorów. W tej chwili jest tam miejsce pamięci. Również cmentarz, na którym pochowano ponad siedemset sióstr. Warto poznać tę historię. Nie bójcie się objętości 800 stron. Podzieliłam ją w polskiej wersji na dwa tomy, żeby wygodniej się trzymało.

To była największa w twoim życiu przekładowym przygoda?

Wszystkie książki Kateřiny Tučkovej są pewnym koszmarem dla tłumacza. Nie dlatego, że są napisane wybitnie trudnym językiem, czy że źle się je czyta. Wręcz przeciwnie, poprzednia książka autorki, ,,Boginie z Žítkovej'', miała już osiem wznowień. To powieść o czeskich znachorkach, tamtejszych szeptuchach, wspaniała, z magią i folkowym urokiem. Też na faktach. Podobnie jak ,,Wypędzenie Gerty Schnirch'', której ekranizację można teraz obejrzeć na HBO Max, również w Polsce. ,,Bílá Voda'' była żmudna i ze względu na objętość, i ze względu na tematykę, i polifonię narracyjną, ale też przez moją świadomość, że Tučková pisała tę książkę jako osoba niewierząca i nienależąca do Kościoła katolickiego, co w Czechach nie jest rzadkie, ale że ja będę musiała tę książkę zaprezentować w kraju, w którym tak naprawdę z Kościołem katolickim niemal każdy miał do czynienia. U nas to nie jest żadna egzotyka, ludzie dość powszechnie wiedzą, co robi ksiądz na mszy, jakie są akcesoria liturgiczne, często znają fachowe słownictwo związane z teologią, wiarą. W Czechach, nawet gdyby w książce było z tysiąc błędów w tym zakresie, a trochę ich było w oryginale, mało kto by zwrócił na to uwagę. U nas owszem. Byłam tym zestresowana. Ale, jak widać po nagrodach, mój stres był chyba dobrą motywacją i przyniósł dobry efekt.



NIE TYLKO BORYSEWICZ

Fabularna biografia wrocławskiego gitarzysty Jana Borysewicza – choć wzbudza spore kontrowersje i zbiera nie zawsze przychylne opinie – wciąż jest jednym z najchętniej oglądanych filmów na polskim Netflixie. „Mniej obcy", który swą premierę miał 6 października, potrzebował zaledwie jednego dnia, by wskoczyć na pierwsze miejsce listy najpopularniejszych filmów w kraju.

Zainteresowanie filmem było tak duże, że wywołało nagły, ogromny wzrost odtworzeń piosenek zespołu Borysewicza na platformach streamingowych. W październiku na Spotify nazwa Lady Pank byłą siódmym najczęściej wyszukiwanym hasłem Polsce, co dało wzrost aż o prawie 400 procent, a odtworzenia piosenek zespołu wzrosły o 120 procent. Najchętniej słuchanym utworem Lady Pank było „Mniej niż zero", na podium znalazły się też „Tańcz głupia tańcz" i „Kryzysowa narzeczona".

Jan Borysewicz to nie jedyny wrocławski muzyk, który zainteresował świat filmu. W maju kinową premierę miał pierwszy pełnometrażowy dokument poświęcony Lechowi Janerce zatytułowany ,,Śpij, śpij inteligencie''. Obraz łączy wspomnienia artysty, archiwalne koncerty i materiały ilustrujące 70 lat polskiej historii. Jak wspomina reżyser Grzegorz Brzozowicz, początkowo chciał napisać książkę o wrocławskim muzyku i namawiał go do tego przez wiele lat: *On zawsze odmawiał. Chcę podkreślić, że ja pierwszy go spytałem o książkę i mi odmówił. I cała seria kolegów już walczyła o to i nic z tego. Więc wiedziałem, że na książkę nie ma szansy. Mówię, Lechu, może byśmy film zrobili. No i to było to słowo klucz i ruszyliśmy.* Film można obejrzeć na platformie TVP VOD. Ale to nie koniec związków Lecha Janerki z kinem, artysta ma też na koncie debiut aktorski. W 2001 roku zagrał w filmie Przemysława Wojcieszka ,,Głośniej od bomb'', wcielił się w postać księdza Wojciecha i jak twierdzą ci, co film widzieli, był w tej roli przekonujący. Filmowcy ochoczo też korzystają z muzyki Janerki. Artysta stworzył ścieżkę dźwiękową do filmów ,,Obcy musi fruwać'' w reż. Wiesława Saniewskiego i ,,Chce mi się wyć'' Jacka Skalskiego. Ta ostatnia produkcja pojawiła się na ekranach w 1990 roku w skandalizującej atmosferze, pokazywała brutalną rzeczywistość stanu wojennego, od której ucieczką był erotyzm. ,,Ten film wyje szarością, przemocą, strachem, samotnością, beznadzieją, frustracją i seksem'' – pisano, i jednocześnie chwalono Lecha Janerkę za muzykę, która podkreślała mroczny i pesymistyczny nastrój filmu. W wielu polskich filmach słyszymy też znane przeboje wrocławskiego muzyka, a ,,Jezu jak się cieszę'' znalazło się nawet na soudtracku komedii romantyczniej ,,Narzeczony na niby'', w obsadzie którego nie mogło zabraknąć Tomasza Karolaka i Mikołaja Roznerskiego. Co ciekawe, pojawia się też utwór ,,Tak mi się nie chce'' zespołu Mikromusic.

Mikromusic ma większe osiągniecia muzyczno-filmowe na swym koncie. W 2015 stworzyli muzykę do filmu ,,Chemia'' z Agnieszką Żulewską i Tomaszem Schuchardtem. Mało kto wie, że dźwięki Mikromusic pojawiają się również w czeskim filmie ,,Konfident'' z 2012. O tej współpracy Natalia Grosiak tak opowiadała na antenie Radia Wrocław Kultura: *Pojechaliśmy na festiwal do Pragi. Graliśmy w takim klubie jazzowym, na barce. To był cykl darmowych koncertów, ale pamiętam, że liczba osób, która wchodziła do klubu, była ograniczona i na nasz koncert po prostu od bramki odbiło się ze 100 osób. To był niesamowity widok. I na tym koncercie był czeski operator Jan Malíř. On też jest muzykiem, bardzo mu się podobał nasz koncert, kupił nasze wszystkie płyty, a że właśnie był w trakcie realizacji filmu pod tytułem ,,Konfident'', zasugerował, że może by Mikromusic mogło napisać muzykę do tego filmu. To wszystko później się bardzo szybko potoczyło. Oczywiście, zero doświadczenia z naszej strony i to wszystko takie pierwsze... Wiem, że gdybyśmy mogli to zrobić jeszcze raz, to zrobilibyśmy to inaczej i lepiej, ale myślę, że jak na pierwszy raz, to całkiem nieźle. To fantastyczna robota, ponieważ masz przed sobą film bez muzyki i podkładasz dźwięk pod obraz i widzisz, jak ten obraz się zmienia pod wpływem muzyki, jakie emocje się tworzą, przyspieszasz akcję albo zwalniasz. To niesamowite, jak muzyka potrafi być odpowiedzialna za plastykę filmu.*





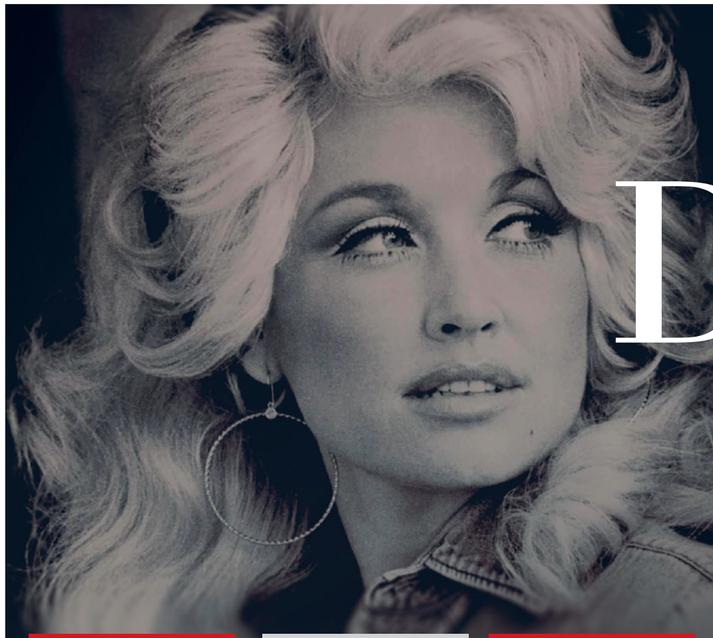
Tymczasem na ekranach kolejny film biograficzny o artystce związanej z Dolnym Śląskiem. „Violetta Villas" to fabularna opowieść o ekscentrycznej artystce, która przez wiele lat mieszkała w Lewinie Kłodzkim.

Ciekawą, filmową przygodę ma też grupa Hurt, i także miała ona swój początek podczas koncertu. Maciej Kurowicki: *Zagraliśmy na pierwszym historycznym przystanku Woodstock w Czymanowie w 1995 roku. Jurek Owsiak myślę, że nas bardzo polubił, ponieważ umieścił nas na dużej scenie bodajże o godzinie 21 albo 22. Publiczność kilkudziesięciotysięczna wtedy wymusiła następny bis. Zeszliśmy ze sceny, rozpoczął się koncert kolejnego zespołu, spakowaliśmy sprzęt do samochodu i w momencie, kiedy odjeżdżaliśmy, ludzie od Owsiaka zaczęli walić w ten samochód, że mamy natychmiast wracać na scenę. Okazało się, że jest kompletny armageddon, że organizatorzy utracili kontrolę nad festiwalem, na scenę leci wszystko, butelki, kamienie itd. Koncert tego zespołu został przerwany. I wróciliśmy grać dalej, po prostu, żeby załagodzić sytuację, po czym staliśmy się bohaterami artykułów na pierwszych stronach gazet, które informowały o naszym koncercie. Pojawiło się tam zdanie, że po koncercie zespołu Hurt, publiczność wymusiła bisy i zraniła żonę Jurka Owsiaka butelką w nogę. Po prostu koszmar, horror. W czasie próby, którą graliśmy na tej dużej scenie, pod sceną była rekordowa liczba ludzi, na żadnym zespole w czasie próby nie było takiego tłumu. Podszedł do mnie miły i sympatyczny pan, którego ja zinterpretowałem jako przedstawiciela jakiejś kablówki, który spytał się, kiedy będziemy grali piosenkę ,,Serki Dietetyczne'', czy on może to zarejestrować. Powiedziałem mu, który to będzie numer w setliście. Okazało się później, że to był Radosław Piwowarski i że cała piosenka znalazła się w jego filmie ,,Autoportret z kochanką'' z Kasią Figurą w roli głównej.* ,,Autoportret z kochanką'' (1996) w reżyserii Piwowarskiego odniósł duży sukces komercyjny i w samych kinach obejrzało go ponad 900 tysięcy widzów.

Muzyczne miasto – poniedziałek, godz. 19.00
RADIO WROCŁAW KULTURA
Ewa Zając

8 NIEZAPOMNIANYCH PIOSENEK WIELKIEJ DOLLY PARTON

Dollycud



W styczniu świętowała – także muzycznie – swoje 80-lecie, w sierpniu we łzach żegnało ją pół świata, deklarując, że będzie kochana zawsze.

Dolly Parton urodziła się 19 stycznia 1946 roku w niewielkim miasteczku w stanie Tennessee. Sevierville liczy dziś ok. 17 tys. mieszkańców, najbardziej znane jest właśnie z tego, że pochodzi stamtąd Dolly Parton. Stolica stanu to Nashville, czyli miejsce nr 1 w świecie muzyki country (tam zmarła). Mała Dolly nie miała pewnie wyjścia, chłonęła country od początku. Podobno miała 6 lat kiedy napisała pierwszą piosenkę, a pierwszą gitarę zrobiła sama ze starej mandoliny i dwóch strun. Jako dziesięciolatka występowała już w lokalnym programie The Cas Walker Farm and Home Hour, radiowym i telewizyjnym formacie sponsorowanym przez właściciela sklepów spożywczych, owego Casa Walkera. The Everly Brothers też tam zaczynali w latach 1950. Walker zmarł w 1998 roku, a Dolly Parton – i to była jej cecha stała – upamiętniła go, rekonstruując sklep Casa Walkera w swoim Dollywood, miejscu bardzo popularnym, jednym z topowych parków rozrywki w Stanach. Jak sama twierdziła: po mamie odziedziczyła talent muzyczny, po tacie talent do biznesu. Tata żadnym wielkim biznesmenem nie był, miał własną małą farmę tytoniu, dorabiał na budowach, dopiero córka rozwinęła przedsiębiorcze skrzydła nie tylko jako artystka, być może najważniejsza w historii country. Ktoś zapyta: a Loretta Lynn? Patsy Cline? Odpowiem: OK, zróbcie ankietę wśród znajomych. I przypomnijcie sobie, jak naukowcy nazwali pierwszego sklonowanego ssaka. A oto mój wybór ośmiu ponadczasowych dzieł Ms Dolly.

DUMB BLONDE

Najważniejszy krok w swojej karierze Dolly Parton zrobiła po liceum, kiedy przeprowadziła się do Nashville. Jej piosenka „Put It Off Until Tomorrow" została nagrana przez Billa Phillipsa w styczniu 1966 roku i została wielkim przebojem. Kilkanaście miesięcy później wydała debiutancką płytę zatytułowaną „Hello, I'm Dolly", z której pochodzi pierwszy przebój śpiewany przez samą Parton. „Dumb Blonde" to adres dziewczyny do byłego chłopaka. Na odchodnym nazwał ją głupią blondynką, a ona mu właśnie mówi, że nie miał racji: this dumb blonde ain't nobody's fool. W czasie nagrywania albumu znany piosenkarz Porter Wagoner zaprosił Dolly Parton do swojego telewizyjnego show i w ten sposób pomógł jej i sobie samemu. Dzięki wspólnym albumom stał się sławniejszy i bogatszy.



I WILL ALWAYS LOVE YOU

Dolly Parton powiedziała w jednym z wywiadów, że jest wdzięczna Whitney Houston za to, że ta zrobiła z jej starej piosenki wielki globalny hit, którego sukces w różnych krajach dał autorce zarobić miliony dolarów. „Po tym, jak Whitney spopularyzowała po latach 'I Will Always Love You', byłam w stanie kupić Graceland" – żartowała Dolly, pamiętając, jak cierpiała, gdy odmówiła Elvisowi nagrania coveru z powodu praw autorskich (menadżer Presleya pułkownik Parker zażądał przynajmniej połowy praw jako warunek nagrania). „Coś w sercu powiedziało mi, żeby tak zrobić – wspominała Parton, dodając: wersja Elvisa byłaby zabójcza". Bardzo chciała ją usłyszeć (czy sztuczna inteligencja już nad tym pracuje?). Utwór, na świecie znany dzięki roli Whitney Houston w filmie „Bodyguard", Dolly opublikowała w roku 1973 (stał się wówczas przebojem) jako hołd dla... Portera Wagonera. Ale nie myślcie, że coś między nimi było prywatnie. Chodziło o to, że tymi tytułowymi słowami Dolly żegnała się ze swoim mentorem, opuszczając muzyczny duet. Sama była już od 7 lat szczęśliwą małżonką Carla Deana (prowadził firmę zajmującą się kładzeniem asfaltu). Zakochała się mając lat 18, ich związek trwał ponad 60 lat, do śmierci męża w 2025 roku (w kilka dni nagrała wtedy poświęconą mu „If You Hadn't Been There").



JOLENE

Chyba najpopularniejsze dzieło naszej bohaterki, reinterpretowane przez wielu wykonawców różnych gatunków muzyki. Od The White Stripes do Beyonce i Miley Cyrus, której chrzestną mamą była Dolly Parton. Tytułowa Jolene istniała naprawdę (choć miała na imię inaczej), była kasjerką w banku i flirtowała z... Carlem Deanem. Opowiadała Dolly: „Ona strasznie się w moim mężu zakochała, a on uwielbiał chodzić do banku, bo poświęcała mu tyle uwagi. To był taki nasz żart, kiedy mówiłam: Spędzasz mnóstwo czasu w banku. Nie sądzę, żebyśmy mieli tyle pieniędzy". Wokalistka prawi dziewczynie komplementy na temat jej piękności, przyznaje, że nie może z nią konkurować, ale błaga, żeby nie zabierała ukochanego. Dwukrotnie nominowana do Grammy Awards w latach 1970. piosenka zdobyła nagrodę w roku 2017 w wersji nagranej przez Dolly z Pentatonix, znaną grupą śpiewającą a capella. Parton wyznała kiedyś (i nie mamy prawa jej nie wierzyć), że „Jolene" powstała w tym samym dniu, co „I Will Always Love You".

MY TENNESSEE MOUNTAIN HOME

Na okładce jedenastego solowego albumu Dolly Parton widzimy zdjęcie małej rudery, w której wychowała się piosenkarka wraz z jedenaściorgiem rodzeństwa. Wielokrotnie mówiła, że było bardzo biednie, ale dwupokojową chatę po brzegi wypełniała rodzinna miłość. Opowiadała, jak w pewne święta Bożego Narodzenia wszystkie dzieci zgodziły się, aby rodzice nie dawali im tego roku prezentów. Żeby tata Robert mógł w końcu kupić mamie Avie obrączkę. Gdy już stała się krezuską, czwarta córka państwa Parton dbała o nich bardzo. Nigdy nie sprzedała pierwszego cadillaka kupionego mamie i niebieskiej ciężarówki, o jakiej marzył ojciec. A trzeba jeszcze wymienić wujka Billa Owensa. To zapewne on miał największy wpływ na muzyczny rozwój siostrzenicy. Sam komponował, występował (regularnie również w Dollywood), wspólnie napisali wspomnianą „Put It Off Until Tomorrow".



COAT OF MANY COLORS

Jeszcze jedna ujmująca rodzinna historia. Mama Dolly uszyła jej kiedyś wielobarwny płaszcz z różnych strzępów tkanin (pamiętamy, że było biednie), opowiadając przy okazji biblijną przypowieść o miłości Jakuba do syna Józefa. Oddajmy głos autorce: „Kiedy ta krótka piosenka stała się hitem, zaniosłam mamie pieniądze. Powiedziałam: Mamo, chodzi o ten mały płaszczyk, który dla mnie zrobiłaś. Dostałam właśnie tantiemy za piosenkę o nim. Chcę cię zabrać do Knoxville... i chcę ci kupić nowy płaszcz z norek. A mama na to: Futro z norek?! Po co mi ono tutaj? A poza tym, nie chcę czegoś, co już było noszone. Po prostu daj mi pieniądze". Przydały się, bo w domu było jeszcze sporo dzieci. Cofnijmy się jeszcze do samej chwili natchnienia. Jest 1971 rok, Parton w tourze z Porterem Wagonerem: „Pewnego dnia jechałam autobusem – wspominała Dolly - i nadszedł moment, w którym wszystkie wersy piosenki zaczęły płynąć, ale nie miałam nic, na czym mogłabym je zapisać. Zobaczyłam metkę z pralni chemicznej na jednym ze strojów Portera, więc po prostu ją zerwałam i zaczęłam pisać. Do dziś jest ten paragon w moim muzeum w Dollywood".



9 TO 5

Praca od dziewiętnej do piątej, co za sposób na życie. / Ledwo daję radę, wszystko zabiera, nic nie daje. / Od dziewiątej do piątej, usługi i oddanie. / Powinnam chyba liczyć na sprawiedliwy owoms. / Chcę się rozwijać iść dalej, ale szef najwyraźniej widzi to inaczej.

W 1980 roku Dolly Parton zadebiutowała jako aktorka w hollywoodzkim filmie. „9 to 5" to komedia na poważny temat równouprawnienia kobiet w pracy. Wymyśliła go Jane Fonda, grająca tu główne role wraz z Lily Tomlin i właśnie Dolly Parton. Feministyczne przesłanie filmu i powstałej wtedy piosenki zachowało aktualność do dzisiaj. To także jedyny solowy utwór Dolly będący nr 1 na legendarnej liście Billboardu (Hot Hundred - bez podziału na gatunki). Zdarzyły się też dwie nagrody Grammy. Ale do Oscara za piosenkę roku Dolly nigdy szczęścia nie miała. Nominowano ją dwa razy: za „9 to 5" i „Travelin' Thru" (z filmu „Transamerica", o... transpłciowej kobiecie). Honorowego Oscara otrzymała Parton w roku 2025 za działalność charytatywną. Dziękując, mówiła: „Ta nagroda sprawia, że chcę mi się wymarzyć nowe sposoby, aby pomagać ludziom w rozwoju. Czy nie po to jesteśmy?".

ISLANDS IN THE STREAM

Miała Dolly Parton jeszcze jeden hit nr jeden na owej gorącej liście Billboardu, czyli „Islands in the Stream", ale nagrany w duecie z Kennym Rogersem, przyjacielem. Napisany pierwotnie dla Diany Ross przebój przystosowali autorzy (bracia Gibb, czyli Bee Gees) dla jednego z najpopularniejszych duetów pop-country w historii. Nie tak zresztą od razu. Barry Gibb produkował wtedy, w 1983 roku, płytę Rogersa „Eyes That See in the Dark". Ale coś mu nie pasowało. To w końcu tekst o dwojgu kochankach, więc jak najbardziej wskazany jest dialog. Co ciekawe, Kenny i Dolly jeszcze się nie znali, mieli kontrakty w tej samej wytwórni (RCA Records). Gdy Rogers nagrywał płytę, Parton była na miejscu, więc zaproszili ją do studia. Zapoczątkowało to bliską przyjaźń między artystami. Zwierzała się artystka w magazynie People: „Wiesz, jak to jest, gdy śpiewanie czegoś staje się nudne, bo po prostu staje się rutyną. Ale ta piosenka zawsze sprawiała, że się rozluźniałam, wszyscy na widowni czuli się świetnie, publiczność uwielbiała ją śpiewać. Głos Kenny'ego nigdy mi się nie znudził. On tam gdzieś na górze jest, wiem to. I śpiewa". Dziś śpiewają znowu razem.

THE BARGAIN STORE

Dolly Parton sama potwierdziła w telewizyjnym wywiadzie informacje o tym, że napisała ponad trzy tysiące piosenek (zaczęła jako kilkulatka i podobno pisała codziennie). Opublikowała setki. Można z nich stworzyć kolejne listy, znajdując różne powody do wyboru. Ta ma znakomity tekst. To monolog kobiety po przejściach, która porównuje siebie i swoje życie do sklepu z... przecenionymi przedmiotami:

Mogę mieć dokładnie to, czego szukasz.
Jeśli nie przeszkadza ci, że towary są używane,
po małej naprawie mogą być jak nowe.

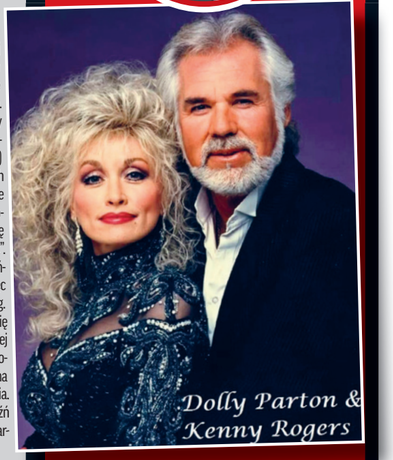
Bierzesz na przykład to stare, złamane serce.
Jeśli zastąpisz brakującą część,
zdziwisz się, jak dobrze może ciągle działać.
Weź ją, a nie będziesz żałował.

Weź te zużyte wspomnienia z przeszłości
i te złamane marzenia, plany.
Wymienię je na przyszłość, nie są mi potrzebne.
Zmarnowałam miłość, ale wciąż mam jej jeszcze trochę.

Sklep z okazjami jest otwarty, wejdź do środka.
Cena niewygórowana, stać cię.
Miłością zapłacisz za wszystkie towary.

Z powodu tej ostatniej, refrenowej, strofy, stacje radiowe przestały w pewnym momencie grać piosenkę „The Bargain Store", bo odczytano ją jako słowa prostytutki. Wiele osób poznaje ten utwór dzisiaj dzięki jednej ze scen serialu „Stranger Things".

Dodajmy na koniec, że istnieje jeszcze jedna – kto wie, jak cenna – piosenka Dolly Parton, którą z pewnością chcielibyśmy wszyscy usłyszeć. Część z nas tego doczeka. Za 20 lat, w stulecie urodzin pani Dolly, zostanie opublikowana „My Place in History", nagrana przez autorkę i schowana w skrzynce na nośniku CD w jej muzeum, w Dollywood.





POLECAMY:

Wystawa STULECIE

Pawilon 4 Kopuł, kuratorka Agata Stasińska (Muzeum Narodowe we Wrocławiu)

Zachwycająca jest ekspozycja przygotowana w roku, w którym mija sto lat od wystawy prezentującej śląską sztukę średniowieczną w Pawilonie 4 Kopuł, wtedy niemieckim. Kuratorzy tamtego wydarzenia Heinz Braune i Erich Wiese prekursorsko zebrali w jednej przestrzeni zabytki z różnych zakątków regionu.

Część z nich zaginęła lub uległy zniszczeniu podczas wojny. Po stu latach Agata Stasińska wraz z ekipą współczesnych muzealników nie rekonstruuje tamtej wystawy, lecz z nią twórczo dialoguje, również dzięki nowościom technicznym, jakie przyniósł rozwój sztuki wystawienniczej (specjalne światło, muzyka, nawet oryginalny zapach). Celowo nazywam tę działalność sztuką. Wspaniałości oglądane dziś w Pawilonie pochodzą ze zbiorów Muzeum Narodowego we Wrocławiu i innych placówek (m.in. Warszawa, Bytom, Kraków) oraz z mniejszych lub większych kościołów Dolnego Śląska. Wartością tej wystawy jest również konserwatorska praca nad niektórymi eksponatami, poprzedzająca efekt (rozpoczęła się już trzy lata temu). Dodatkowy dialog przynosi instalacja Anny Bujak (laureatki Emocji Radia Wrocław Kultura). Wśród 150 obiektów, między dziełami imponującymi również rozmiarem (krucyfiks Chrystusa z kościoła w Byczynie czy Poliptyk Zaśnięcia Marii ze świdnickiej katedry) każdy znajdzie swojego artystycznego faworyta, który wzbudzi podziw, wywoła wzruszenie lub pobudzi myśli. Mnie zadziwiła rzeźba z ewangelickiego kościoła w Sycowie. Po raz pierwszy zobaczyłem ukrzyżowanego Jezusa z czymś, co nazwałbym błogością na twarzy. On już wie, co się dzieje: nie cierpienie tu zwycięża, lecz zbawienie.



Grzegorz Chojnowski

NASZ PATRONAT

ETNO-JAZZOWE PRZEDWIOŚNIE

Kolektyw EAST to pokłosie fascynacji jego członków wschodnioeuropejskim dziedzictwem kulturowym. Ta, w konfrontacji z ansamblem posługującym się językiem kolektywnej improwizacji, przefiltrowanym przez etno-jazzowy idiom, zaowocowała „Przedwiośniem". Słowno-muzycznym konceptem, wyrosłym z połączenia akustycznych instrumentów ze współczesną produkcją i jazzowym sznytem. O idei tego projektu opowiada jego spiritus movens, kompozytor, aranżer, multi-instrumentalista – Łukasz Ciesiołkiewicz.



Radio Wrocław Kultura: W ostatnim czasie odkryliśmy chyba ludowszczyznę na nowo? Projekty Miuosha, „Chłopi" z muzyką L.U.C.-a, nie wspominając o literackich konotacjach z „Chłopkami" i „Ludową Historią Polski" na czele. „Przedwiośnie" jest przejawem tej mody, czy inaczej należy upatrywać jego genezy?

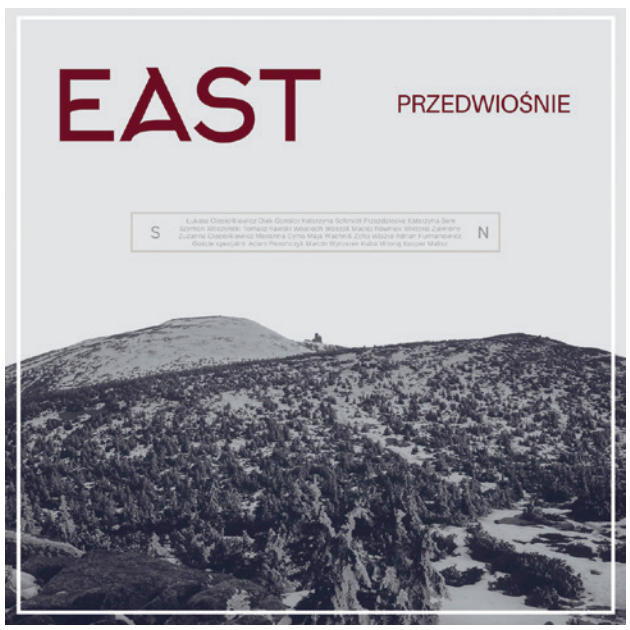
Łukasz Ciesiołkiewicz: Lubię podkreślać, że nie wymyśliliśmy prochu. Od dwustu lat śledzimy proces, w którym folklor wchodzi na salony. Chopin, Moniuszko, Szymanowski, fantastyczni kompozytorzy jak Lutosławski, Penderecki – oni wszyscy czerpali z folkloru. I tak, to muzyka poważna. Mnie marzyło się, żeby zaaplikować to rozwiązanie w jazzie. Żeby folklor i jego idiomatyczne struktury spróbować przetłumaczyć na ten konkretny, nowoczesny język, którym nauczyłem się posługiwać studiując na Wydziale Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach.

Takiego tłumaczenia dopuścił się już chyba Zbigniew Namysłowski na „Kujaviak Goes Funky". Wiele lat później, współpracujący z nim Michał Barański, na swoim solowym albumie „Masovian Mantra" dokona podobnego zabiegu. Preparowanie folkloru Mazowsza tradycyjnym śpiewem konnakol było dla Ciebie pewną inspiracją do stworzenia „Przedwiośnia"?

Zdecydowanie. Jeżeli ktoś dostaje Fryderyka za koncepcję, nazwijmy to, wymieszania folkloru z różnych stron świata, to jak mógłbym nie uznać, że to nie jest powód, by taki kierunek eksplorować? Jeśli chodzi o samego Michała Barańskiego i tę płytę, ona jest wybitna pod wieloma względami. Tak, zdecydowanie ośmieliła mnie też w tym działaniu, mimo tego, że nawet w studiu od Ignacego *[Gruszeckiego, płyta rejestrowana była w Monochrom Studio – MK]*, który nagrywał naszą sesję, usłyszałem pytanie: – *Kto tego będzie słuchał?* Odpowiedziałem: – *Na pewno ja.* Wtedy też utwierdzałem się w przekonaniu, że to dobry kierunek. Kiedy już poznałem całość, od początku do końca, byłem w zupełności przekonany, że podjęliśmy świetną decyzję, by nawet nie tyle polski, co wschodnioeuropejski folklor na ,,Przedwiośniu'' zmieszać z przeróżnymi wpływami i zabiegami produkcyjnymi. To płyta produkcyjnie bardzo skomplikowana.

O ile zaproszenie na sesje Kacpra Malisza wpisuje się w ten projekt, o tyle udział Adama Pierończyka jest pewnym zaskoczeniem. Skąd taki pomysł i jak nasz wybitny saksofonista do tego pomysłu podszedł?

Z panem Adamem rozmawialiśmy na początku mailowo i wymieniliśmy się kilkoma informacjami, zanim doszło do spotkania w studio i naszej współpracy. To było marzenie. Słucham jego płyt od naprawdę dawna. Solowych recitali na sopranie czy kwintetu, w którym występował z Piotrem Wyleżołem i Davidem Dorużką. Byłem tym człowiekiem zafascynowany od lat kilkunastu. W koncepcję utworu ,,Krokusy'' wpasował się idealnie. Za wszelką cenę chciałem uzyskać etniczny koloryt sopranu, który troszeczkę



będzie przypominał góralskie piszczałki, flety. Coś, co tę improwizację wprowadzi w kontekst harmoniczno-rytmiczny nie do końca powołujący się na jazz. Wybitny improwizator, jakim jest pan Adam, poradził sobie z tym bez żadnego problemu, a osadzenie tego w kontekście góralskiego folku, wymieszanego z bliskowschodnim rysem, zdecydowanie rzuca troszeczkę nowe światło na taką konstelację. To suma kilku koncepcji, która finalnie okazała się dosyć nośnym tematem. Wykorzystanie skrzypiec, potem saksofonu, całego kolektywu jako jednego instrumentu, w końcu tam nie ma bardzo szerokiej faktury. Zabawa barwą polega przede wszystkim na tym, żeby osiągnąć jak najciekawsze rezultaty, a solówka Adama Pierończyka jest po prostu wybitna.

Zapytam na koniec o recytatyw wyjęty z dźwiękowego archiwum, pojawiający się w „Ślęży". Kto z taką emfazą i przekonaniem opowiada o roli, jaką ta góra nie tylko dla nas odgrywa?

To dr Marian Gotkiewicz, a słyszymy jego wypowiedź przytoczoną w kontekście wsi znajdującej się na terenach dzisiejszej Rumunii. Odsyłam do dokumentu dotyczącego osady Pojana Mikuli, w której do dziś mieszkają Polacy, sam również chętnie sobie go odświeżę... Głos doktora jest tutaj kluczowym aspektem. Niejako wkomponował się samoczynnie. To chyba zresztą najbardziej nowoczesny utwór na płycie, nawiązujący do bardziej elektronicznych brzmień, wykorzystujący sample i lirę korbową Kuby Mitoraja. Okazało się, że Kuba, którego znałem jako fantastycznego gitarzystę, jest również lirnikiem i udziela się m. in. w zespole Zakuka. W głowie szybko ułożyło się to w pomysł połączenia tych etnicznych instrumentów oraz refleksji nad tym, co Ślęża dla nas faktycznie znaczy. Jakaś głębsza myśl przeszła mi przez głowę w momencie, kiedy usłyszałem słowa Mariana Gotkiewicza, to było dla mnie druzgocące. Już potem do rana tylko siedziałem i pisałem kompozycję, żeby nawiązać w jakiś sposób do tego, co zostało powiedziane i nad tą puentą radzę słuchaczom się pochylić.



Michał Kwiatkowski
NIE BYŁO GRANE
środa, 19:00

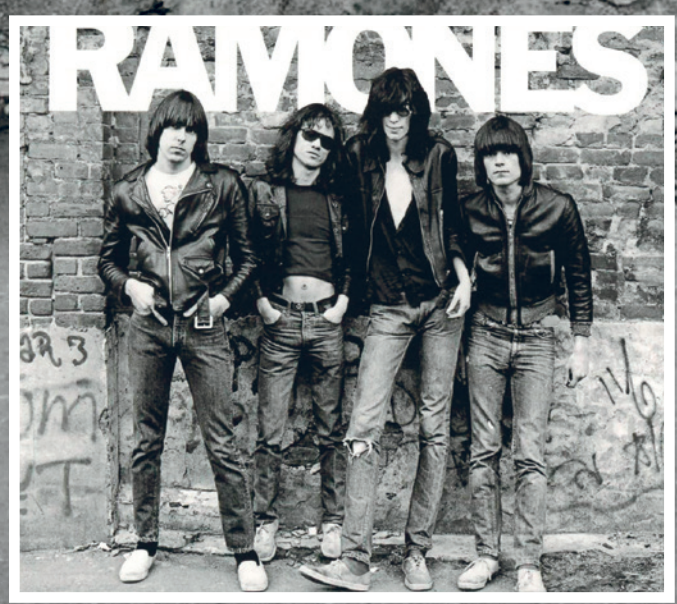
RAMONES, CZYLI TRZY GITAROWE CHWYTY I CZTERY SKÓRZANE KURTKI

50 lat temu ukazał się debiutancki album grupy Ramones. Magazyn „Rolling Stone" umieścił go właśnie na drugim miejscu zestawienia najlepszych płyt 1976 roku (za „Songs in the Key of Life" Steviego Wondera, a przed „Hejira" Joni Mitchell).

Gdy muzycy The Beatles rozpoczynali karierę, postanowili w pewnym momencie przybrać sceniczne pseudonimy. John Lennon kazał wtedy na siebie mówić Long John, George Harrison stał się, na cześć swego idola Carla Perkinsa, Carlem Harrisonem, natomiast Paul McCartney przybrał pseudonim Paul Ramon, nie zdając sobie sprawy, że staje się właśnie ojcem chrzestnym punk rocka. Zresztą o hamburskich występach Beatlesów z tamtego okresu zwykło się mówić potem, że były pierwszymi koncertami punk rockowymi. Muzycy odziani w czarne skóry, zachowywali się na scenie arogancko, grali surowego rock'n'rolla, a wizerunku grzecznych chłopaków jeszcze im nie wymyślono. Kilkanaście lat po tych hamburskich koncertach Beatlesów pewien nowojorski zespół stanął przed problemem wymyślenia nazwy. Któryś z muzyków przypomniał sobie pseudonim McCartneya i chwilę potem kilku młodych ludzi o różnych nazwiskach stało się braćmi, którzy, jak to bracia, nazywali się tak samo: Johnny Ramone, Tommy Ramone, Joey Ramone i DeeDee Ramone. Nazywali się identycznie i wyznawali identyczną muzyczną filozofię: „trzy gitarowe chwyty, cztery skórzane kurtki".

W latach 1970. muzyka rockowa zmierzała w niepokojącym kierunku. Można było wręcz odnieść wrażenie, że, aby grać w zespole rockowym, trzeba mieć co najmniej ukończoną wyższą szkołę muzyczną. Wielu zdolnych młodych ludzi było skłonnych poddać się od razu. Na szczęście, pojawili się Ramones, którzy postanowili przypomnieć, gdzie tkwią korzenie rocka. W czasie jednego utworu grupy Yes, Ramones spokojnie zagraliby cały koncert. Ich pierwsze występy trwały po 17 minut, podczas których muzycy potrafili odegrać 20 piosenek. „Bo to były krótkie piosenki", mówił wokalista Joey Ramone. Nie zgadzał się z nim gitarzysta Johnny: „To były długie piosenki, tylko graliśmy je szybko". A jaka była tajemnica dobrego przyjęcia ich muzyki przez widownię?: „Graliśmy piosenkę tak szybko, że zanim ktokolwiek zdążył stwierdzić, że mu się nie podoba, my już graliśmy następny kawałek".

Niektóre z wczesnych koncertów zespołu zostały utrwalone na taśmie filmowej. Możemy się więc zorientować, jak wyglądały. Gdy grali w nowojorskim klubie CBGB w 1974 roku miała miejsce na przykład taka scena. Muzycy kończą jeden utwór i zaczynają ustalać, co zagrają w następnej kolejności. Zdecydowanie nie ma między nimi zgody. Wokalista Joey zapowiada jeden utwór, ale perkusista Tommy protestuje, sugeruje inny. Basista Dee Dee popiera wokalistę. „To już dwa do jednego", zlicza głosy któryś z nich. Gitarzysta Johnny mówi głośno w niecenzuralnych słowach, co sądzi o propozycji bębniarza. „A mam was gdzieś", rzuca na koniec zrezygnowany Tommy. Wiele grup rockowych tworzyli muzycy nieprzepadający za sobą nawzajem, ale Ramones na miano rodziny dysfunkcyjnej zasługiwali tym bardziej, że wszyscy nosili to samo nazwisko. Jeden z dziennikarzy, mający okazję przyglądać się grupie z bliska, zauważył, że wyglądało to tak, jakby tworzyło ją czterech największych dziwaków z okolicy, takich, którzy w dodatku nienawidzą się nawzajem. I to w taki sposób, w jaki potrafią się nienawidzić tylko nastolatki. Dee Dee zgrywał najbardziej szalonego z nich wszystkich. Cichy i świetnie zorganizowany Tommy to jego przeciwieństwo. Joey wyglądał jak postać nie z tego świata, bardzo nieśmiały, a do tego chorowity, ze zdiagnozowaną nerwicą natręctw. Johnny, po dwóch latach w szkole wojskowej, twardo stąpał po ziemi, był bardzo pewny siebie, narzucał otoczeniu swoją wolę, pilnował interesów, skrupulatnie liczył każdego centa.



Świetnie przyjmowane koncerty w klubie CBGB zwróciły na nich uwagę branżowych bossów. Niedługo po podpisaniu kontraktu z wytwórnią Sire, muzycy weszli do studia. Dostali do dyspozycji niewielki budżet, ale nie narzekali. Nagrali 14 piosenek. To były bardzo proste piosenki, ale muzycy i tak dbali, żeby fani się w nich nie pogubili. W utworze „Judy Is a Punk" kolejne zwrotki wokalista rozpoczyna słowami „druga zwrotka", „trzecia zwrotka taka sama, jak pierwsza", „czwarta zwrotka inna od trzeciej".

W czasach rocka stadionowego to, co robili Ramones, zakrawało na prowokację. I na dobrą sprawę nią było. W czasach komplikowania wszystkiego, co się da, ich receptą na sukces było robić wszystko najprościej, jak się da. Gitarzysta Johnny Ramone mówił, że pierwszą piosenką, jaką nauczył się grać na gitarze była piosenka Ramones. Wcześniej próbował się uczyć, podrabiając swoich mistrzów z MC 5, ale szybko stwierdził, że to dla niego za trudne, powiedział więc do kolegów: „Napiszmy coś swojego, co będziemy w stanie zagrać". Jednak wielkość Ramones polega nie tylko na tym, że mieli odwagę grać prosto w czasach, gdy w modzie było granie skomplikowane. Rzecz w tym, że pisali świetne piosenki. To są już niekwestionowane klasyki.

Słuchając debiutu Ramones, miłośnicy kunsztownych fraz byli, oczywiście, zniesmaczeni, za to tłumy młodych ludzi chwyciły za instrumenty. I jacy to byli ludzie. Wśród inspiracji wymieniali Ramones tacy giganci jak: R.E.M., U2, czy Red Hot Chili Peppers. Nawet Tom Waits nagrał kilka ich piosenek. Ramones udowodnili, że najważniejszy jest pomysł i entuzjazm, że wirtuozeria techniczna nie jest wcale w muzyce rockowej najważniejsza. Takie podejście miało okazać się niezwykle inspirujące. Debiutancki album Ramones ukazał się w kwietniu 1976 roku i choć muzycy zespołu nosili stosunkowo długie włosy, a w ich tekstach niewiele było społecznego zaangażowania, szybko stali się jedną z najważniejszych inspiracji dla brytyjskiego punka, który miał eksplodować chwilę później. „Ramones" to płyta, której wpływu na to, co dalej działo się w muzyce rockowej przecenić się nie da.

Ściana Dźwięku, wtorek 19:00
RADIO WROCŁAW KULTURA
Jerzy Węgrzyn

POLECAMY:

Olga Tokarczuk ŚWIATA JEST ZA DUŻO (Wyd. Literackie, 2026)

„Żeby opowiedzieć ludzkie życie, trzeba sięgnąć o poziom wyżej niż samo życie, zdobyć się na dystans, obrać miejsce, skąd widzi się jeśli nie dokładniej, to pełniej, szerzej. Z tej perspektywy rzeczy przybierają dziwne kształty, nie takie, do jakich przyzwyczaiło się ludzkie oko, nie te oczywiste, wiele razy oglądane, o których mózg wyrobił sobie już własne zdanie."



Fot. Henryk Mamica-Hüsken

Te dwa zdania z tegorocznej powieści Olgi Tokarczuk tłumaczą zapewne także to, że książka „Świata jest za dużo" trafiła do czytelników dopiero teraz, tych osiem dekad po rewolucyjnym wręcz momencie polskiej, europejskiej historii, kiedy całkowicie zmieniły się losy ludzi, rodzin, miejsc, światów, które trzeba było zostawić za sobą i zbudować na nowo. Wrocław, Wałbrzych, Wygnanów. Tak zatytułowane są części tej powieści pisarki, która w 2019 roku otrzymała Nagrodę Nobla. Jurorzy szwedzkiej akademii przyznającej najważniejsze literackie wyróżnienie szczególnie podkreślili narracyjną wyobraźnię autorki „Ksiąg Jakubowych" i bardzo mocno obecne w jej twórczości „przekraczanie granic jako formę życia". Obie te cechy literatury Olgi Tokarczuk dotyczą także powieści „Świata jest za dużo". Na prawie siedmiuset stronach przyglądamy się dramatycznej historii naszego regionu, losom przybyłych tutaj po II wojnie światowej mieszkańców. Autorka nazywa swoją książkę powieścią konstelacyjną. Zaczęła ją pisać jeszcze przed Noblem, tkając swe dzieło również z opowieści ludzi, których spotykała. Choć wszyscy bohaterowie są fikcyjni, to w poszczególnych biografiach odnajdą się dzisiejsi Dolnoślązacy, ludzie skądś, o korzeniach wschodnich i zachodnich, tworzący tożsamość tego wyjątkowego miejsca. – *Miałam poczucie, że jestem coś winna innym ludziom. Tej niesprecyzowanej, niezdefiniowanej wspólnocie, w której się wychowałam i w której żyję. Skoro piszę, mam tę umiejętność, jest to mój zawód, powinnam to zrobić, powinnam się jakoś przysłużyć* – mówiła autorka Radiu Wrocław Kultura tuż przed premierą. Ale nowa powieść Tokarczuk to też wielka szansa na to, że czytelnicy na całym świecie dowiedzą się o historii naszego regionu. W liczbie języków, na które są przekładane książki wrocławskiej Noblistki, Olga Tokarczuk jest aktualnie liderem wśród polskich pisarzy i pisarek. Autorka przyznaje jednak, że „Świata jest za dużo" to jej ostatnia duża powieść, w przyszłości zamierza skupić się na mniejszych formach literackich, esejach i wykładach.

Być może będzie w nich rozwijać motywy z powieści przepełnionej refleksją na tematy wielkie, przerastające wyobrażenia o tym, co się może zdarzyć. W wydanych 80 lat temu „Medalionach" Nałkowska użyła jako motta fragmentu swoich zapisków z czasów wojennych. Tamto „ludzie ludziom zgotowali ten los" Tokarczuk – po swojemu – wprowadza w nieco inny wymiar, bo też jej książka nie jest literackim dokumentem, lecz czerpiącą z magicznego realizmu konstelacją nadziei, wiary w przetrwanie i regenerację, a najbardziej chyba sagą wspólnoty. Dlatego narrację przejmuje tu głos zbiorowy, więcej niż wszechwiedzące i wszystko odczuwające my, słowo „nieurodzonych", a więc jakiegoś potencjału, świadomego doświadczeń poprzednich pokoleń, ale i pragnącego nowej opowieści, innej drogi dla świata. W rozdziale „Prawo sprzączki" znajdujemy wart zapamiętania hymn wspólnoty. „Ci, co mają wspólne interesy (choćby przez chwilę)", „ci, co mieszkali w tym samym hotelu i domu", „ci, co nosili to samo ubranie", „ci, co naprawiają, z tymi, co popsuli", „ci, co przyjechali, z tymi, co odjechali", „ci, co upiekli, z tymi, co jedzą" – pisze noblistka – „są jednym". Zostawiając nam – zawartą w całej powieści – piękną humanistyczną sugestię. Jednym są także „ci, co napisali, z tymi, co czytają", a i ci, co mówią w radiu, z tymi, co słuchają.

emocje
WYDAWCA:
Radio Wrocław Kultura,
Polskie Radio Wrocław SA,
Aleja Karkonoska 10, 53-015 Wrocław
Redaktor naczelny:
Grzegorz Chojnowski
mail: kultura@radiowroclaw.pl,
telefon do studia: +48 71 78 02 320
Redaguje zespół, zastrzegamy sobie zmiany w nadsyłanych materiałach.
druk: Drukarnia Taurus



PROGRAM RADIA WROCŁAW KULTURA

PONIEDZIAŁEK
0:00 PLAYLISTA
5:00 GRAMY PO POLSKU
8:00 PLAYLISTA
16:00 KULTURA DAB+
MUZYKA (goście, recenzje, komentarze)
19:00 MUZYCZNE MIASTO (muzyka z Wrocławia)
21:00 3 STRONY KULTURY (debata)
22:00 PLAYLISTA

WTOREK
0:00 PLAYLISTA
5:00 GRAMY PO POLSKU
8:00 KULTURA DAB+ MUZYKA (powtórka)
11:00 PLAYLISTA
16:00 KULTURA DAB+
TEATR (goście, recenzje, komentarze)
19:00 ŚCIANA DŹWIĘKU (muzyka rockowa)
21:00 WIECZÓR Z KULTURĄ
22:00 PLAYLISTA

ŚRODA
0:00 PLAYLISTA
5:00 GRAMY PO POLSKU
8:00 KULTURA DAB+ TEATR (powtórka)
11:00 PLAYLISTA
16:00 KULTURA DAB+
SZTUKI WIZUALNE (goście, recenzje, komentarze)
19:00 NIE BYŁO GRANE (muzyczne nowości)
21:00 VARIACJE
22:00 PLAYLISTA

CZWARTEK
0:00 PLAYLISTA
5:00 GRAMY PO POLSKU
8:00 KULTURA DAB+ SZTUKI WIZUALNE (powtórka)
11:00 PLAYLISTA
15:00 POWIEŚĆ
16:00 KULTURA DAB+
LITERATURA (goście, recenzje, komentarze)
19:00 MUZYKA LEGENDARNA
21:00 WIECZÓR Z KULTURĄ
22:00 PLAYLISTA

PIĄTEK
0:00 PLAYLISTA
5:00 GRAMY PO POLSKU
8:00 KULTURA DAB+ LITERATURA (powtórka)
11:00 PLAYLISTA
16:00 KULTURA DAB+
FILM i SERIAL (goście, recenzje, komentarze)
19:00 MUZYCZNY POJEDYNEK
21:00 MUZYCZNE ARCHIWUM
22:00 PLAYLISTA

SOBOTA
0:00 PLAYLISTA
5:00 GRAMY PO POLSKU
11:00 MUZYCZNE ARCHIWUM
12:00 MŁODZI RADIOWCY
12:30 ZAMIESZANI W KULTURĘ (wywiady)
13:00 MUZYCZNE MIASTO (powtórka)
15:00 ŚCIANA DŹWIĘKU (powtórka)
17:00 NIE BYŁO GRANE (powtórka)
19:00 VARIACJE
20:00 PLAYLISTA

NIEDZIELA
0:00 PLAYLISTA
8:00 POWIEŚĆ
9:00 DŹWIĘKOWA HISTORIA
10:00 REPORTAŻ
10:30 NA KOŃCU JĘZYKA
11:00 KONCERT W RWK
12:00 STUDIO 202
12:30 ZAMIESZANI W KULTURĘ (wywiady)
13:00 MUZYKA LEGENDARNA (powtórka)
15:00 MUZYCZNY POJEDYNEK (powtórka)
17:00 DŹWIĘKCZYNIENIE
19:00 ODZYSKANE ŹRÓDŁA (polski folk)
20:00 PLAYLISTA